

KAROLINA KASPRZAK-DIETRICH



TRUCICIELE²
Niewierność

Karolina Kasprzak-Dietrich

Truciciel

tom 2

Niewierność

© Copyright by Karolina Kasprzak-Dietrich

Okładka: Andrzej Konefał

Korekta: Dominika Kamyszek - Opiekunka słowa

ISBN: 978-83-954942-4-6

Wydawca: Karolina Kasprzak-Dietrich



Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2023



Tę książkę dedykuję mężowi.

Dziękuję Ci, że mnie wspierasz w tej pisarskiej podróży.

Prolog

Niebo już od paru godzin pokrywała czarna kotara smutku, choć delikatna łuna księżycowego światła rozświetlała skłębione skupisko drzew na horyzoncie. Tak-sówkarz zmierzał właśnie tam, tam był jego azyl, jego port. Spoglądał raz na wiotkie ciało kobiety, a raz na oddalony o paręset metrów punkt na horyzoncie. Widząc koniec asfaltowej drogi, nadusił hamulec z taką siłą, że głowa nieprzytomnej dziewczyny oderwała się od zagłówka i z impetem uderzyła o deskę rozdzielczą. Kierowca pozostał jednak niewzruszony, wyszedł z samochodu z gracją i podszedł do bagażnika. Przez ogromne, ciężkie i równie czarne jak niebo chmury przebijały się srebrzyste promienie księżycy, które rozjaśniały mu drogę. Jego krok był hardy, a spojrzenie pewne.

Wiosna tego roku, choć nic na to nie wskazywało, okazała się bardziej łaskawa niż zeszłoroczna jesień, ponieważ od wielu tygodni ciągle padał deszcz, gruba warstwa ziemi przesiąknięta była wodą, ale i tak długotrwała jesienna susza zdążyła zrobić wiele szkód. Wysoki mężczyzna za bardzo się tym nie przejmował, gdyż wszystko, co posiadał, oddawał naturze i tylko w niej pokładał nadzieję. Uważał, że przyroda musi bronić się sama, a słabszy prędzej czy później musi zginąć, tak ja ta kobieta, która swoją rozwiązłością sama prosiła się o tę podróż. Zacisnęła na jutowej

linie swoją ogromną pięść i pociągnął tak, że usłyszał tylko odgłos łupnięcia – kobieta leżała teraz na ostatnim metrze drogi asfaltowej. Zawiązał ogromny supeł i pociągnął za linę, wsłuchując się w dźwięk, jaki wydawało ciało, ślizgając się już po błotnistej nawierzchni.

Ubrany w wysokie kalosze i płócienną odzież, przemierzał beztrząsowo bruzdy ziemi, nie omijał napotkanych kałuż, rozbryzgując wodę na boki. Kąciki jego ust unosiły się, tworząc na smutnej twarzy grymas podobny do upiornego uśmiechu. Na nic nie zważał, chciał jak najszybciej dotrzeć do swojego gospodarstwa, by zaopiekować się nową rybą, jak nazywał większość złowionych dziewczyn. Szedł nieustrudzenie, jakby nie odczuwał ciągniętego ciężaru, pewien swoich zamiarów i celu. Oddech mieszał się z delikatnym powiewem wiatru, który lekko bił jego spłoszające policzki, po czym uciekał na boki, jakby i on bał się tego, co może się za moment wydarzyć. Mężczyźni nieczęsto udawało się zaspokoić swoje rządze bez większych wyrzutów sumienia, bo jednak i on je miewał. Tym razem los sam podał mu na tacy to biedne, zagubione dziewczę, które jego babcia zapewne nazwałaby grzesznicą. Grzesznice są złe i muszą dostać karę, to piekielne moce i szatańskie nasienie, którego nawet nawrócenie nie naprawi.

Taszcząc za sobą blade, prawie już sztywne ciało, z każdym krokiem pozostawiał za sobą wydrążone w gruncie piętno, jednocześnie pragnąc rozgrzeszyć tę kobietę. Koniec liny, którą kurczowo ścisnął w pięści, zawiązany był wokół nagich kostek, które wcale nie były mu już

takie obce. Przystanął na moment, przyglądając się swojej rybie.

Stopy dziewczyny były przekrwione, a cipka drobna i lekko niedogolona. Ciało pokryte było błotem, a twarz już ledwo dostrzegalna, gdyż splątane i brudne włosy częściowo ją przykryły.

– Moja ryba... – wyszeptał i ruszył, by za moment móc zacząć cieszyć się zdobyczą.

Plecy dziewczyny szorowały po mokrej ziemi, wydrążając rów, który od razu wypełniał się wodą. Mężczyzna przystanął kolejny raz, przecierając pot z czoła. Spojrzał z udręką najpierw na żałobne niebo, a potem zmierzył wzrokiem całe jej ciało, w tym również spore, jak na jej gabaryty, piersi.

Uśmiechnął się, ale nie analizował, znowu ruszył, zanurzając stopy w mętnej brei, nie czuł zmęczenia, a ciało włókł tak, jakby ważyło zaledwie kilka gramów. Podążał przed siebie, kierując się na czarne cienie chudych drzew z niekrytą euforią, że za moment doczeka się spełnienia. Znajdowali się w bezpiecznej odległości od szosy, a wokół rozciągała się jego ukochana głusza.

W końcu z ciemności zaczęły się wyłaniać znajome kształty. Spojrzawszy na zbite z cienkich dech drzwi sto- doły, ciężko odsapnął z wyraźną ulgą. Kopnął we wrota, a one otworzyły się z hukiem. W środku też panowała nieprzenikniona ciemność. Mężczyzna, spoglądając na swoją ofiarę i upewniając się, że leki, które podał jej przed godziną, jeszcze działają, upuścił trzymany koniec jutowej

liny i zaczął rozcierać swoje obolałe dłonie, przygotowując się do prawdziwej batalii. Następnie podszedł do pordzewiałej wywrotki, na której ułożone równiutko w rzędzie było z pięć ogromnych balotów słomy. Zaparł się z całej siły i zaczął przepychać przyczepę w stronę wejścia. Po pierwsze – chciał odsłonić właz, po drugie – zabarykadować wejście, by nikt nie mógł mu przeszkodzić... ani uciec. Choć dla przeciętnego człowieka wydawało się to niemożliwe, on poradził sobie bez problemu. Chwyciwszy zmiotkę, oczyścił skrawek betonowej podłogi, tym samym uwidaczniając metalową pokrywę. Szarpnął w górę za metalowy uchwyt, a ujrzawszy zionący w podłódze czarny otwór, wyjął z kieszeni zapalniczkę, by oświetlić sobie wejście. Powtórnie chwycił linę i zaczął wlec swoją zdobycz po schodach w dół. Gdy jej głowa uderzyła o pierwszy stopień, opamiętał się, bo chciał poznać grzesznicę nieco bliżej, więc po krótkiej refleksji podniósł jej bezwładne ciało. W ciemności, bo przecież nie miał już możliwości trzymać w ręku zapalniczki, zszedł na dół, do jeszcze innego pomieszczenia, które wyglądało jak sala szpitalna. Było niebywale sterylne i minimalistyczne, o powierzchni zaledwie kilku metrów kwadratowych. Mężczyzna ułożył grzesznicę na niewielkim, białym materacu leżącym w kącie pokoju, po czym zapalił wiszącą u sufitu gołą żarówkę.

– Nie wiem do końca, czy tutaj pasujesz, jesteś mało higieniczna! – oznajmił. – Muszę cię obmyć, bo inaczej ciężko będzie o rozgrzeszenie – kontynuował swój chory wywód. – Bóg nigdy ci tego nie wybaczy – dodał, a jego słowa odbijały się echem od gołych betonowych ścian.

Szybkim ruchem rozwiązał sznur oplatający stopy dziewczyny. Te były sine i poranione aż do kości, które wydawały się nie białe, a brudne od błota, czarne jak noc. Spoglądając na nią zarówno z nienawiścią, jak i apetytem, położył się tuż obok, po czym zaczął obwąchiwać jej zabrudzoną szyję niczym szczur badający swój łup. Mimo przejść pachniała kobieco, co spowodowało, że mężczyzna bardzo się rozczulił, a w kącikach jego oczu pojawiły się łzy. Nie potrafił już zapanować nad penisem, który zrobił się jak ze stali. Jego ręka odruchowo powędrowała w dół, próbował zsynchronizować własny oddech z jej.

– Mam swoją uległą! – mruknął.

Po tych słowach mimowolnie ścisnął mosznę tak mocno, aż go zabolalo, a drugą dłonią powędrował pomiędzy jej uda, lekko je rozchyliwszy. Powieki dziewczyny zadrgały, a ona wydała z siebie stłumiony dźwięk, więc bardzo szybko cofnął rękę. Nie chciał jej budzić, uważał, że musi dać sobie czas, by wszystko należycie przygotować. Gdy odgarnął ubłocone kosmyki z jej bladej twarzy, dojrzał przepiękne, wydatne i różane usta. Były lekko rozchylone, ukazując rząd bielusich zębów. Nachylił się i przejechał po tych ustach językiem, poczuł słodcz, a najbardziej spodobało mu się to, że dziewczyna rozchyliła wargi jeszcze bardziej i niewyraźnie wypowiedziała męskie imię, a jej suchy język próbował się wynurzyć, szukając źródła wilgoci. Próbował je nawilżyć, oblizując dookoła, muskając i wkładając język coraz głębiej w jej usta. Nie rozumiał dlaczego, ale nagle poczuł się jej niegodny. Dlatego

zaciskając rękę na jej bladym łokciu i wgniatając ją w materac, wysapał:

– Jesteś grzesznicą!

Tym samym zakończył ten zmysłowy i subtelny zabieg poznawania jej ciała, które nadal pozostawało w bezruchu. Wstał nagle, gdy z zaskoczeniem zauważył, że jej powieki drgają i lekko się unoszą.

Mężczyzna w pierwszym panicznym odruchu odwrócił się twarzą w stronę ściany, jakby chciał się ukryć. Nie przewidział tego, iż ta piękność, którą wioził taksówką i której obiecał nieco odpoczynku, obudzi się tak wcześnie. To nie tak miało się potoczyć, jeszcze nie był na to gotowy.

– Gdzie ja jestem? – zapytała dziewczyna ze strachem w zachrypniętym głosie, krzywiąc twarz w bolesnym grymasie. – Co się tutaj dzieje? Oj... Jak mnie boli...

Na tego rodzaju pytania nie był przygotowany, przeszył go spazm niepokoju.

Spis treści

Prolog	7
Wojtek	13
Kasandra	21
Wojtek	32
Kasandra	37
Rok później Wojtek	41
Kasandra	52
Dzień później Wojtek	66
Kasandra	76
Wojtek	88
Kasandra	95
Wojtek	111
Kasandra	123
Wojtek	136
Kasandra	149
Wojtek	164
Kasandra	181
Wojtek	190
Kasandra	201
Wojtek	212
Kasandra	221
Trzy miesiące później Wojtek	233
Kasandra	249
Wojtek	256
Kasandra	260
Epilog	263